

Impeachment Macrona?

Emmanuel

4 września 2024

Po olimpiadzie na salony paryskie wraca polityka i problem utworzenia nowego rządu. Lewicowy blok Nowego Frontu Ludowego ma swoją kandydatkę na premiera i uważa, że jako zwycięzca wyborów ma prawo do zgłoszenia swojego kandydata. Front nie ma jednak większości w parlamencie i prezydent Macron naciska na utworzenie szerszej centro-lewicowej koalicji do rządzenia, być może bez czołowej partii Frontu, radykalnie lewicowej Zbuntowanej Francji (LFI). Tymczasem to właśnie La France Insoumise (LFI) zagroziła prezydentowi wszczęciem procesu jego destytucji w przypadku odmowy mianowania na premiera ich kandydatki Lucie Castets.

W liście otwartym opublikowanym 18 sierpnia w „La Tribune du Dimanche” ważni politycy LFI – Jean-Luc Mélenchon, Mathilde Panot i Manuel Bompard grożą prezydentowi impeachmentem i uważają, że odmowa wyznaczenia polityka lewicy na premiera nie uwzględnia „wyniku politycznego wyborów” i jest to rodzaj „zamachu stanu na demokrację”. Paradoksalnie jednak te groźby mogą być dla Emmanuela Macrona... korzystne.

Próba odwołania Macrona z urzędu prezydenta nie ma szans. Procedura impeachmentu wymaga m.in. uzyskania większości 2/3 głosów i to w obydwu izbach parlamentu. Na to nie ma szans. W dodatku ta propozycja polityków LFI rozsierdziła ich bardziej umiarkowanych i mniej „rewolucyjnych” partnerów z Frontu Ludowego, zwłaszcza socjalistów. Ich pierwszy sekretarz Olivier Faure postanowił zareagować i podkreślił, że pod groźbą destytucji Macrona „podpisali się tylko przywódcy LFI” i „dotyczy to tylko ich ruchu”. Zwrócił też uwagę, że „obalenie (Macrona) jest niewykonalne”. W obozie lewicy doszło do kłótni i ta może być korzystna dla Macrona, który może „wyciągnąć” z niej do swojej koalicji mniej radykalne partie i

polityków. Nawet szef komunistów Fabien Roussel ocenił, że wezwanie do impeachmentu idzie za daleko. Przypomniał także, iż „każda partia polityczna w koalicji jest całkowicie wolna i autonomiczna”. „Nie ma potrzeby robić z tego wielkiego halo” – komentowała też krok polityków „Zbuntowanych” szefowa Zielonych Marine Tondelier.

I tak „olimpijski spokój” w kwestiach politycznych został już tylko wspomnieniem. W rzeczywistości żadna z partii nie ma w parlamencie odpowiedniej większości do utworzenia większościowego rządu. Prezydent proponuje lewicy rozmowy ze swoją koalicją centro-lewicową, tym bardziej, że kandydatka Frontu Lucie Castets raczej nie ma szans na poparcie w parlamencie. „Konsultacje” w sprawie utworzenia rządu odbywały się w Pałacu Elizejskim, którego główny lokator ze skłócenia lewicy może się tylko cieszyć.

Francuska lewica wspomaga „antyfaszystów” brytyjskich

Pora na mały przyczynek do zrozumienia, jak bardzo radykalna w swojej ideologicznej lewicowości jest partia Melenchona o nazwie „Zbuntowana Francja” (LFI). Przy wielu politykach tego ugrupowania nawet komuniści to „młoty”, ale bez „obucha”. Dobrym przykładem tego radykalizmu LFI była podróż posła tej partii za Kanał La Manche. Zapewne w imię hasła „proletariusze wszystkich krajów łączcie się”, deputowany LFI i koalicji Frontu Ludowego Raphaël Arnault „przybył do Londynu”, aby „wspierać antyfaszystowskich towarzyszy” w walce z „skrajnie prawicowymi rasistami”.

Przypomnijmy, że owi „rasiści” to Brytyjczycy, którzy wyszli na ulice, bo mają dość terroryzmu islamskiego, imigracji i przestępczości, które rujnują ich kraj i odbierają mu tożsamość. Ich protesty wywołało morderstwo trójki dzieci przez 17-letniego islamistę-nożownika w Southport. Lewicowy rząd brytyjski uznał jednak, że protesty inspirowane są przez

„skrajną prawicę” i postawił na konfrontację i siłowe zduszenie manifestacji przebudzonych Brytyjczyków. Partia Pracy uzyskała tu wsparcie „towarzyszy francuskich”. Właśnie deputowany Raphaël Arnault oficjalnie ogłosił, że udał się do Londynu, aby „wspierać towarzyszy antyfaszystów”. Dodał, że fala protestów to były „ataki rasistów”. „Dziś faszysci ogłosili co najmniej trzydzieści demonstracji, w których zamierzają przeprowadzać ataki. To może być jeden z najgorszych dni od początku rasistowskich zamieszek” – napisał Arnault na „X”.

Internauci, nie doceniając „internacjonalistycznych” inspiracji posła, zwracali mu jednak uwagę, że jedzie „ingerować w wydarzenia polityczne obcego kraju”. Arnault pojechał do Anglii na 7 sierpnia, kiedy to przypadła kulminacja protestów. Brytyjska policja informowała o „najgorszym dniu”. Zmobilizowano ponad 6 tys. funkcjonariuszy „upoważnionych do użycia siły”, a na ulice w kontrademonstracjach wyszli też sami muzułmanie i lewica. To właśnie do jej demonstracji w Londynie dołączył i francuski poseł Zbuntowanej Francji i zarazem założyciel organizacji „Młoda Gwardia” w Lyonie Raphaël Arnault. Padły tam wezwania do „podrzynania gardeł faszystom”...

„Wielka Brytania upadnie jak dojrzały owoc z drzewa”

Przy tym temacie jeszcze pozostajemy. Głos w sprawie sytuacji w Wielkiej Brytanii zabrał bowiem pisarz i znawca tematu islamu Boualem Sansal. Jest Algierczykiem i laureatem kilku nagród literackich, w tym Wielkiej Nagrody Akademii Francuskiej w 2015 roku za powieść „2084: Koniec świata”. Na łamach „Atlantico” pisarz stwierdza, że „islamiści wiedzą, że Wielka Brytania upadnie jak dojrzały owoc, i że Europa pójdzie za nią”. Niewątpliwie deputowani tacy jak Arnault taki upadek przyspieszą.

Był to komentarz pisarza do zamieszek, które wstrząsały Wielką Brytanią po 29 lipca. Boualem Sansal stwierdził, że „jesteśmy świadkami bezpośredniej porażki Wielkiej Brytanii w wojnie domowej, (...) spowodowanej przez siły dezintegracyjne, którymi są islam i jego ekstremiści, niekontrolowaną masową emigrację oraz niekonsekwentne elity polityczne, skrzepowane poprawnością polityczną i wokizmem, gotowe na wszelkie kapitulacje w celu zachowania swojej pozycji”.

Sansal porównał nawet zachowanie rządu brytyjskiego do czasów II wojny światowej i słów Churchilla o „wojnie i hańbie”, gdy państwa Europy ustępowały żądaniom hitlerowskich Niemiec. Pisarz uważa, że sytuacja w Anglii wywoła efekt gry w kręgle, gdzie jeden przewrócony element, przewraca kolejne. „Porażka Wielkiej Brytanii doprowadzi do porażki wielu krajów europejskich. Zobaczymy tam, że Unia Europejska została tak zaprojektowana, że osłabia państwa i łączy je w bezbronną całość”. Przepowiednia Algierczyka brzmi groźnie, w końcu zna islam od środka...

Bułgar – dywersant

Wątek bułgarski w rozmaitych działaniach sowieckich służb to już niemal „tradycja”. Czasy się zmieniły, ale „bułgarskie ślady” nadal widać w działaniach Rosji. W Paryżu jeszcze przed olimpiadą doszło do zniszczenia pomnika Holocaustu (Shoah – jak nazywają go Francuzi). Podejrzany o ten wyczyn jest właśnie obywatel Bułgarii. Twierdzi jednak, że działał pod wpływem alkoholu i po prostu był pijany. Zaprzecza, by kierowały nim motywy antysemickie, nie wspominając już o innej motywacji.

W rzeczywistości sprawa ma prawdopodobnie drugie dno i nie chodzi tu ani o alkoholowy wybryk, ani o antysemityzm. W tym samym czasie w stolicy Francji miała miejsce cała seria dziwnych zdarzeń, które podgrzały i prawdopodobnie rozchwiały nastroje społeczne wokół wojny w Gazie. Bułgar był jednym z

trzech mężczyzn podejrzanych o zdewastowanie pomnika Shoah w Paryżu, co miało miejsce w maju tego roku. Twierdzi, że działał po „wypiciu dużej ilości alkoholu” i odrzuca „jakąkolwiek motywację religijną”. Tu być może akurat mówi prawdę.

Na pomniku, czyli tzw. Murze Sprawiedliwych, m.in. odcisnięto ślady czerwonych dłoni. W sumie było 35 takich malunków. Jak na pijanego było to działanie dość metodyczne. Dzięki monitoringowi po zdarzeniu udało się namierzyć sprawców i doprowadzić do zatrzymania trzech Bułgarów, ale już po ich wyjeździe do swojego kraju. Francja teraz domaga się ekstradycji. Dziennik „Le Parisien” podał, że jeden z nich Georgi Filipow 7 sierpnia przyznał się do „udziału w tym akcie wandalizmu”, ale zaprzeczył „jakimkolwiek innym motywom, poza chuligaństwem”. 35-letni mężczyzna mówi, że wypił za dużo alkoholu i został „poproszony” o malunki. „Kiedy obudziłem się następnego dnia, zdałem sobie sprawę, jaką głupotę zrobiłem i odpuściłem” – miał się tłumaczyć bułgarskiej policji. Mężczyzna twierdził, że nie miał „absolutnie pojęcia o symbolice rysunków”. Ma zostać poddany procesowi ekstradycji do Francji, a sąd w Sofii powinien podjąć w tej sprawie decyzję 26 września. Dwóch innych Bułgarów też usłyszało zarzuty. Sofia twierdzi, że „obracają się w kręgach skrajnie prawicowych”. Jeden z nich, Kiril Miluszew był zatrzymany pod koniec lipca i został już odesłany do Francji.

Środowiska LGBT+ „dumne” z paryskiej olimpiady

Skoro poruszyliśmy już wątek olimpiady, to ciekawe „podsumowanie” tej imprezy zaprezentował francuski magazyn gejowski „Tetu”. Uznał Igrzyska Olimpijskie Paryż 2024 za naprawdę „przyjacielskie”. „Nigdy nie będziemy w stanie wystarczająco podziękować dyrektorowi artystycznemu Paryż 2024 Thomasowi Jolly’emu i naszym queerowym artystom, którzy wzięli

w niej udział, za tę ceremonię otwarcia Igrzysk Olimpijskich". Dodano, że był to „najwspanialszy moment widoczności LGBTQ+ w historii światowych telewizji!”. Rzeczywiście mało kto zrobił tyle dla propagandy tego środowiska. „Tetu” cieszy się też z rekordowej liczby „ujawnień” odmiennych preferencji seksualnych, czyli „coming-outów” sportowców.

W magazynie przytoczono też „najlepsze momenty” igrzysk. Zaliczono do nich „lesbijskie pocałunki” Alice Bellandi i Perris Benegas. „Po zdobyciu złota w swojej kategorii włoska judoka Alice Bellandi w naturalny sposób rzuciła się do swojej towarzyszki, kolejnej judoki z Afryki Południowej i kochankowie wymienili wspaniały lesbijski pocałunek przed kamerami na całym świecie, ale także przed Giorgią Meloni”. Przypomniano bowiem, że premier włoskiego rządu akurat oglądała walkę z trybun. „Niezły afront” – cieszy się francuski magazyn i przypomina „kolejny pocałunek między dziewczynami”. Chodzi o Amerykankę Perris Benegas, która po zdobyciu srebrnego medalu w BMX poszła całować się ze swoją partnerką.

Magazyn ma tylko pretensje, że lesbijki są odważniejsze do homoseksualistów, którzy za mało prezentowali publicznie swoje preferencje. Kolejny przykład „lesbijskiej odwagi” to judoka francuska Amandine Buchar (ta rzeczywiście mocno przypomina mężczyznę). Pozostaje podobno „jedyną francuską sportsmenką queer”, która zdobyła medal na tych igrzyskach. Dalej magazyn przypomina jeszcze „gejowski pocałunek Campbella Harrisona” z Australii, który niestety „opuścił Paryż bez medalu za wspinaczkę”. „Podbił jednak nasze serca, całując – także publicznie – swojego chłopaka Justina” – cieszy się „Tetu”. „Tetu” zauważa też wyczyn Cindy Ngamby z Kamerunu, która jednak wystąpiła w „drużynie uchodźców”. Kamerun to kraj demokratyczny, a Ngamba dostała azyl w Wielkiej Brytanii jako... lesbijka. Cindy Ngamba zdobyła swój pierwszy medal – brązowy i zapewne nie bez przyczyny była na głównej scenie podczas ceremonii zamknięcia olimpiady.

Same publiczne całowanie się homoseksualistów już jednak temu środowisku nie wystarcza. Gejowski magazyn pisze o „cudownej chwili” po zdobyciu brązowego medalu ze swoją drużyną w siódmkach dostarczonej przez Amerykankę Alev Kelter. Ta „oświadczyła” się „swojej dziewczynie” Kathryn Treder, także zawodnicze rugby i poprosiła ją o rękę. Propozycja padła w paryskim Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Z kolei niejaki Tom Daley ma już „ślub” za sobą. Poślubił Dustina Lance’a Blacka i mają... dwójkę dzieci, które przyjechały go wspierać w Paryżu. Brytyjski pływak zdobył srebrny medal w nurkowaniu synchronicznym.

Lista homoseksualnych ekscesów jest długa. W olimpijskim turnieju hokeja na trawie miało grać w sumie „16 qeerowych zawodniczek (w tym 15 kobiet)” i ten turniej był „szczególnie przyjazny osobom LGB”. Kilku kapitanów drużyn nosiło opaski w kolorach tęczowej flagi, w tym dwóch finalistów: kapitan niemieckiej drużyny mężczyzn Mats Grambusch i kapitan holenderskiej drużyny kobiet Xan de Waard. Do tego jeszcze biseksualista, Argentyńczyk Nico Keenan (gra w lidze holenderskiej), który przybył grać w hokeja na trawie ze swoim „chłopakiem” Robem Jettenem, byłym... wicepremierem Holandii.

Oczywiście magazyn gejowski nie zapomniał o „dzielnych” bokserach Imane Khelif z Algierii i Hergie Bacyadan oraz znanym nam reprezentancie Tajwanu – Lin Yu-ting. „Algierska bokserka Imane Khelif nie dała się zastraszyć” – stwierdza „Tetu”. Filipińczyk Hergie Bacyadan był z kolei oficjalnie jedyną „transpłciową” sportsmenką, która mogła wziąć udział w tych igrzyskach olimpijskich w kategorii kobiet. W sumie magazyn doliczył się 42 medali zdobytych przez całą „drużynę LGBTQ”, w tym 15 złotych. Podobno daje to zespołowi „tęczowych” siódme miejsce w „rankingu narodów”. Właściwie aż dziw, że jeszcze się prowadzi jakieś narodowe tabele medalowe i punktowe. Lobby LGBT idzie w swojej propagandzie wzorem dawnego NRD, gdzie wyniki dziwnie hodowanych zawodników miały świadczyć o wyższości tego kraju i idei socjalizmu. Teraz

socjalizm ubrano jedynie w „tęczowe” wdzianko i sport nadal ma spełniać rolę propagandową.

Autorstwo: Bogdan Dobosz

Źródło: NCzas.info